

Z pamiętnika generała Henryka Dembińskiego - bitwa pod Borodino

Dziś przypada dwusetna rocznica bitwy pod Możajskiem (Borodino).



Z pamiętnika generała Henryka Dembińskiego:

„Przybywając pod Smoleńsk, już w wilią dnia ataku, przywitał nas nieprzyjaciel niespodzianie kilkoma strzałami działowymi, co nawet w naszej marszowej kolumnie nieco nieporządku narobiło. Rozkazano nam wrócić nieco w tył, żeby nas kule nieprzyjacielskie nie sięgały, a skorośmy stanęli obozem, nakazano nazajutrz wystąpić w paradzie dla

przeгляdu, który cesarz Napoleon miał odbywać. Gotowaliśmy się na tę uroczystość nieco smutnie, bo cesarz winę brata swego spóźnienia w ściganiu Bagrationa najniesłuszniej nam przypisywał, nie uważając na to że wojsko bez rozkazu wodza w kilkunastodniowy marsz udać się nie może.

Około 8ej z rana w dniu następnym wsiedliśmy na koń, i przegląd skończył się na prostym defilowaniu przed cesarzem. Ten znajdował się na prawej naszej stronie, a Smoleńsk na lewo. Defilowanie odbywało się małym kłusem plutonami; już sądziliśmy, jak była pogłoska, że na powrót przeprować się będziemy przez Dniepr, bo istotnie atak byłby skuteczniejszy z tej dyrekcyi, gdy w tem widzimy baterią artyleryi konnej, kapitana Romańskiego, dobrym kłusem po lewej naszej ręce ruszającą naprzód, a skoro minęła czoło kolumny nadszedł rozkaz do naszej brygady, aby szwadron jazdy bateryi tej szedł w assekuracyą. Chociaż istotnie kolej była na pułk 13ty, pułkownik Tuliński, który nader lubił chronić swych ludzi, tłumaczył się przed ks. Sułkowskim, że jego pułk z młodego żołnierza złożony, nie kwalifikuje się do podobnej służby, do której starego żołnierza użyć należy. Odebrał więc rozkaz Kurnatowski, aby szwadron pułku 5go w assekuracyą ruszył i wprost do szwadronu 3go został tenże wysłany.

Poszliśmy więc pod komendą Kopego, a że bateria była frontem rozwinięta, rozwinęliśmy się na wyrównanie bateryi, kompania 5ta na prawem, moja na lewem skrzydle. Wszystko to odbywało się w ciągłym ruchu naprzód i kłusem. Wyznaję że, kiedym przyszedł na wyrównanie Smoleńska, było mi jak to mówią w sercu luto, że najbliżej murów jestem, i z wielką pociechą usłyszałem komendę, zdaje mi się szefa szwadronu Sowińskiego: „Cała linia prawa naprzód.” Już mi było rażniej, choć zbliżaliśmy się do murów, że idę szerokim frontem, lecz

po niejakiem kłusie ku miastu, dał znowu komendę „Lewe naprzód”. Pokłusowaliśmy nieco w tej dyrekcyi i znowu nastąpiła komenda „Prawe naprzód” i stanęliśmy frontem do miasta, sześć dział w środku, my po skrzydłach. Staliśmy tak blisko godziny, a tymczasem całe wojsko w żywym marszu formowało się za nami, bliżej nas jazda, o pół strzału armatniego za nami. Pamiętam że 6ty pułk Suchorzewskiego pułkownika stał wprost za mną w rozwiniętym froncie. Były i pułki niemieckie, zdaje mi się pruskie huzary. Po godzinie przyjechał generał francuski ze świty cesarskiej i pyta mię: „dla czego bateria nie strzela?” przetłómaczywszy to zapytanie Romańskiemu, odpowiada że niewidzi baterii nieprzyjacielskich. Skorom tę odpowiedź oddał generałowi, ten mówi do mnie: „zaraz wam powiem gdzie baterye” i ruszył naprzód jakby na spacer. Dzielny koń jego sadził przez jałowcowe krzaki, które całą tę okrywały okolicę; tyraliery rossyjskie dosyć gęsto w tych krzakach rozsypane nie wstrzymały generała i mogę powiedzieć że mu winien naukę jak trzeba iść w ogień. W kilkanaście minut, wrócił generał i pokazał nam szaniec wskośnie naprzeciwko naszego lewego skrzydła, któryśmy wprawdzie widzieli, ale zdawał się nie mieć dział. Skoro bateria Romańskiego dała ognia, odpowiedział ten szaniec z 12stu swoich armat i kanonada ta trwała więcej godziny. Po upływie tego czasu, wraca ten sam generał i prowadzi za sobą 12 dział ciężkich starej gwardyi Napoleona. Czarna ta kolumna, bo wszyscy artylerzyści byli w bermycach, przeszła przez środek naszej linii, a generał do podpułkownika który ją prowadził, powiada: „Komendancie, stań o sto kroków przed baterją polską” lecz komendant odpowiada: „o 100 kroków jest za mało, posunę się 300 kroków dalej, stanę na owem wywyższeniu gruntu (monticule) i będę bił na wyłom (en breche).” Stało się jak powiedział i dzielna ta artylerya ledwie raz każde działo dała ognia, baterją rossyjską uciszyła. Każda francuska kula trafiała w czubek szanca. Lecz jak tylko ta bateria ustała, odezwała się druga z nad murów Smoleńska, na prost naszego frontu, a wkrótce i trzecia dalej na prawo, tak żeśmy ogromny ogień krzyżowy ciągle odbierali.

Rzęsisty ten ogień pomógł mi w karierze mojej, bo nieszczęśliwy Kope, choć nierównie starszy żołnierz i już pod Frydlandem się odznaczył i z tego powodu dużego szacunku w pułku używał, co jego skromność jeszcze podwajała, mówi do mnie głosem trzęsącym: „Mój Dembiński, wiem że się będą e mnie śmieli, ale „ja tu wytrzymać nie mogę, każ mi dać dwóch ludzi, „niech mię w tył odprowadzą, a ty weź komendę „szwadronu." Uczyniłem zadosyć jego woli i pierwszy raz w życiu widziałem to co nazywają Niemcy Kanonenfieber, uczucie, które drugi raz w dawnym koledze moim pod Ostrołęką, a w dowódcy pułku piechoty spotkać mi się zdarzyło. Tak to odwaga jest często dniowa i człowiek waleczny w 10ciu bitwach, ulega czasem słabej chwili! Winienem położenie pola na którym się bój odbywał, nieco opisać. Dniepr płynął prostopadle do frontu naszego, o pół strzała armatniego od nas. Między naszym frontem a murami Smoleńska były ogromne parowy, które woda deszczowa w tym gliniastym i lekkim gruncie od wieków wryła, niepodobne do przebycia dla jazdy, a trudne dla piechoty bo boki prawie prostopadłymi były. W lewo nas i z tyłu torfisty grunt płaskimi krzakami jałowcowymi zarosły. Między Smoleńskiem a drugim brzegiem Dniepru był murowany most, do którego przystęp między Dnieprem a murami miasta był wązki i mocno przez Moskali osadzony. W tej dolinie były stogi siana i różne drewniane budynki. Po kilkogodzinnej kanonadzie wystąpiły kolumny naszej piechoty do ataku. Brygada jenerała Grabowskiego miała przeznaczenie do ataku na most; stogi siana i budynki, czy to przez nieprzyjaciela czy od granatów zapalone tworzyły kłęby czarnego i zielonego dymu, w którym ledwie połyski strzałów obustronnych, jakby błyskawice widzieć było można. Było to prawdziwe piekło, szczególnie w tym punkcie; przypatrzyłem się mu należycie, bo pułkownik Suchorzewski w towarzystwie jakiegoś sztabs-oficera jazdy niemieckiej przyjechali do mnie, gdy już nas piechota minęła i namówili na jechanie ku mostowi. Ze siedm godzin trwał ten piekielny ogień, lecz szczęśliwie dla mego oddziału, bo więcej ucierpiały pułki jazdy za mną stojące, niż ja sam.

Ale bolesną poniosłem tu stratę przez śmierć brata mego Jana, którego pułk 15ty piechoty prowadził do ataku. Ubrany strojnie, bo taki był jego zwyczaj, jechał sam jeden na koniu przed pułkiem piechoty, a że Moskale z trzech rzędów strzelnic, bezpieczni od ognia celnie strzelać mogli, padł mój brat, trzema strzałami razem ugodzony, a koń 7 kul w tym samym czasie odebrał. Atak nasz był nader niedorzeczny, kazano iść do ataku na mury na 3 piętra wysokie, bez wyłomu i bez drabin, było to wysłać ludzi na śmierć niechybną. Poległo tu niemało najwaleczniejszych ludzi; wiedziało wojsko że cesarz nieukontentowanie dla Polaków oświadczył i chciało walecznością swoją przekonać, że na to nie zasługuje. Moskale bronili się dzielnie i dopiero w nocy gdy część miasta ogniem spłonęła, opuścili Smoleńsk ze swoją aryergardą, bo korpus sam widzieliśmy jak w porządku już przed wieczorem na drugim brzegu Dniepru w kolumny uszykowany, cofał się wolno ale wzorowo. Napoleon 100 dział wzdłuż Dniepru ustawić kazał, które te kolumny raziły, lecz na chwilę jedną nieporządku nigdzie nie sprawiły. Aż do północy szedł ogień ze strzelnic rosyjskich. Jakby przecuciem, bom o śmierci brata nie wiedział, chodziłem sam jeden gdy już wszystko spało i pamiętam jak mię te strzały ze strzelnic, które jak błyskawica ciemność nocy przerywały, smutkiem napełniały. Nazajutrz dopiero, gdy zwiedzałem pobojowisko i wjechałem w parowy szukając ciała brata mego, bo pogłoska śmierci jego rozeszła się była po wojsku, widziałem jak koniecznie próżnemi być musiały usiłowania nasze. Niektórzy z zabitych dostali byli kulą prostopadle w środek głowy, bo tyraliery rosyjskie nad parowami prosto w dół do drapiących się strzelać mogli. Tam znalazłem Połkańskiego ze sztabu, Kosińskiego z 2go pułku piechoty i mnóstwo nieznanym i tam spotkałem się pierwszy raz z bratem moim Wacławem, który szczęśliwszy odemnie ciało brata naszego Jana już był pochował, w miejscu gdzie go zabitego znalazł. Nazajutrz staliśmy dzień cały, a korpus ciężkiej kawaleryi francuskiej czwórkami maszerując przechodził przez Dniepr po moście w dyrekcyi za

Moskalami. Można sobie wyobrazić jak musiał być liczny ten korpus z kirassyerów i karabinierów złożony, kiedy nieustanny marsz jego wzdłuż nas, trwał więcej 10 godzin. Trzeciego dnia po południu kazano nam wystąpić przed cesarzem; przybywał on do korpusu naszego dla rozdawania nagród, o czym ledwie że wiedziałem, tak byłem w smutku pogrążony, gdy raptem wywołują mię z szeregów przed cesarza.

Ten do mnie mówi: „Qui etes vous?” odpowiadam: „Je suis le lieutenant Dembiński.” „Eh bien, je vous nomme capitaine”, i dalej ruszył koniem dla rozdawania nagród niższym stopniom, gdy w tem nagle obraca konia, wraca naprzeciw mnie i jeszcze raz zapytuje: „Qui etes vous?” ja myśląc, że zapomniał, odpowiadam: „Je suis le lieutenant Dembiński.” Cesarz na to: „Mais non, vous etes „capitaine, car je viens de vous nommer.” Może być, że myślą jego było nadać mi jeszcze wyższy stopień, gdyż to było dosyć w jego zwyczaju, zwłaszcza w takiej jak tu okoliczności; opowiedziano mi bowiem jak się rzecz miała, t. j. że jak cesarz przyjechał przed pułk, zapytał się Fredry, którego chorego Kurnatowskiego zastępował, jaki jest w pułku wakans, a gdy mu ten powiedział, że brakuje szefa szwadronu, zapytał się, kogo na ten stopień przedstawia, ten wymienił kapitana Korneckiego, którego cesarz, gdy przed nim stanął, szefem szwadronu mianował, a gdy cesarz zapytał, kogo na miejsce kapitana przedstawia, Fredro najstarszego porucznika Kremarkiewicza wymienił. Cesarz na to: „Eh bien, qu'il vienne ici”. „Mais Sire, il n'y est pas.” Cesarz „ou est il?” „il „commande le dśpót a Varsovie.” Cesarz z gniewem: „Comment, foudre! vous voulez me faire „avancer un homme qui ne s'est pas battu, je „veux recompenser un brave, allons! le plus „brave ici”, i wtedy jakoś wszyscy obecni, mnie wymienili. Może więc być, że ta jednostajność głosów cesarza dla mnie dobrze usposobiła i chciał może dać naukę tym co boju unikają, lecz że byłem nadto smutny, odpowiedź moja, jakbym nie pamiętał o zrobionej nominacji, myśl jego może zmieniła. Pamiętam,

żem się nieco wahał z proźbą, którą chciałem zrobić do cesarza, to jest aby mi pozwolił dla pomszczenia się za śmierć brata, szpicę armii ciągle z moją kompanią formować; obawa, aby to za rodzaj fanfaronady nie brano, obok głębokiego smutku, sprawiły żem zamilczał. Takem sobie nie mógł wyobrazić, aby brat mój Jan, którego w wilią pełnego życia, zapału i wesołości widziałem, był teraz bez życia, że pomimo zapewnień brata Wacława, że go doskonale poznał nim pochował, chodziłem po wszystkich ambulansach, aby go szukać między rannymi. Okropna to była rzecz, odwiedzać tylu konających znajomych. Gorącość powietrza szybko je zatrzymywała, tam gdzie tyle ran świeżo odniesionych opatrywano. Mogę powiedzieć, że w tych kilku dniach dużo doświadczenia nad klęskami, które wojna sprawia, nabyłem, a pomimo tego zapał do boju nie ustawał, czego dałem dowód nazajutrz po otrzymanej przez cesarza nominacji, w następującej okoliczności: Dostałem rozkaz, abym ze szwadronem, którego teraz byłem dowódcą, stanął na placu, którego zajmowałem w dnia bitwy; gdym tam przemaszerował, zastałem równie wszystkie trzecie szwadrony, trzech innych pułków, do dywizji naszej należących i ze smutkiem dowiedziałem się od któregoś adjutanta księcia Poniatowskiego, że mam z temi 4ma szwadronami pozostać w Smoleńsku, dla trzymania posterunków między postępującą ku Moskwie armią a Litwą. Niezmiernym smutkiem zostałem przejęty na tę wiadomość i prosiłem jak najusilniej, aby mnie od tego wstydu uwolnić, kiedy inni bić się będą. Nie wiem prawdziwie, czem na podobne zasłużyłem zaufanie, bo bojów jakem powyżej powiedział, małym był odbył i chyba akuratność i każdgodzinna gotowość w służbie, mogła do tego punktu ufność ku mnie wzbudzić. Po godzinie dowiedziałem się, że projekt zmieniony został i że w miejscu owych 4ch szwadronów, pozostaje w Smoleńsku pułkownik Prebendowski z 1szym pułkiem strzelców konnych.

Nie pamiętam, wiele dni bawiliśmy w Smoleńsku, wiem że nie dłużej jak trzy a najwięcej cztery. Chodził po armii głuchy szmer, że cesarz na marszałka Junot, księcia Abrantes, mocno był zagniewany; ten albowiem wysłany z wyborowym korpusem, miał cofającemu się nieprzyjacielowi drogę między Wiaznią a Smoleńskiem przeciąć, lecz ruch ten kompletnie się nie udał; i chociaż to był faworyt cesarza, odebrana mu została komenda, bo się okazało, że już miał początki pomieszania zmysłów. Wszyscy jenerałowie otaczający cesarza, radzili mu, aby na ten rok kampanią ukończyć i zająć pozycje wzdłuż Dniepru, co istotnie zbawienną było radą. Lecz cesarz sądząc, że jak opanuje stolicę, Rosyją do pokoju zmusi, odepchnął wszystkie te rady i ruszyliśmy dalej. Widać, że nie miał dokładnych wiadomości o kraju, do którego wkraczał i sądził, że wyżywi wojsko szybkim marszem, korzystając z zasobów jakie u mieszkańców znajdzie. Myśl już trudna do wykonania w ludnych krajach niemieckich, a zupełnie niepodobna w przestrzeni, którąśmy przechodzić mieli. Były wprowadzić piece piekarskie kosztownie nagromadzone, ale nie wiem, czy te przeszedłszy Smoleńsk, miały sposobność pieczenia chleba. Musiała być wielka wada w tej gałęzi służby, bo raz jeden tylko pod Smoleńskiem otrzymaliśmy racje chleba w bochenkach, a ten chyba na próbach około Warszawy pieczony, tylko powierzchnią okazywał że jest chlebem, a skorośmy go przełamali, cały środek był pełny niebieskiej kurzawy pleśnią zwanej. Ruszywszy ze Smoleńska zajęliśmy we froncie naprzód postępującej armii położenie, w któreśmy aż do Moskwy postępowali, t. j. że korpus polski tworzył prawe skrzydło Wielkiej armii. Lewe tworzyli Włochy. Maszerowaliśmy zawsze blisko mili drogi, w prawo od czoła głównej armii, tak że front postępującej całej zbrojnej siły, blisko półtóry mili szerokości zajmował, a czasem i więcej.

W dzień ruszenia ze Smoleńska miałem służbę inspekcyjną w pułku, którą kolejno kapitanowie odbywali. Cały porządek pułku w marszu, jako rozstawienie placówek i wedet, do kapitana służby należało. Zatrzymawszy się na boku, gdy pułk około mnie przeciągał, nadjechał powóz, w którym się znajdował dowódzca pułku Kurnatowski, który jak powiedziałem był zachorował. Spostrzegłszy mnie, zawołał do siebie i zapytał, czy to prawda, że cesarz mnie kapitanem mianował? Odpowiedziałem, że istotnie tak było, lecz że dla tego mu się nie meldowałem, że zapytawszy się szefa szwadronu Siemiątkowskiego, czy to mam zrobić, ten odpowiedział, że to są słowa (*des paroles en l'air*), że więc nie wypada. Właśnie w tej chwili wołają mię na czoło pułku, przybyłem galopem sądząc, że to rzecz służby, aż mi Fredro tymczasowy dowódzca pułku doręcza nominacją na piśmie, w której marszałek Berthier uwiadamia, że cesarz dekretem z dnia 16. sierpnia mianował mię kapitanem. Pismo to podpisane było Alexandre, bo tak się książę Newszatelski podpisywał. Ruszyłem natychmiast do pułkownika Kurnatowskiego i melduję mu się, okazując piśmienną nominacją. Kurnatowski dziwną wtedy do mnie miał mowę, mówił bowiem: „Ja bardzo kontent jestem, że cesarz pana awansował, jednak ja „bym był pana tak prędko do awansu nie przedstawiał, „bo pan jesteś młody i nie trzeba myśleć, że ja już „jestem ten najlepszy.” Prawdziwie nie wiem do dziś dnia co to znaczyć miało, bo nie wiem czy byłem tym najlepszym, ale to wiem, że żaden tonu nie przybierał, któryby pozwalał czynić mi podobny wyrzut. Miał jakiś żal do mnie, ale ten niezawodnie nie pochodził z najmniejszego w służbie uchybienia. Około 11ej godziny w marszu zluzowany ze służby zostałem przez innego kapitana i przywołany do dowódcy Fredro, ten może żeby mię ze smutku wyprowadzić, a może istotnie potrzebował koni, okazuje mi w prawo od nas długą kolumnę bagaży nieprzyjacielskich i prosi: „Weź „12 koni i rusz ku tym bagażom, nie podobna, aby „tam koni

powodowych nie było, jeżeli znajdziesz, „przyrowadź mi konia, bo moje prawie wszystkie odpsute”. Wybrałem natychmiast 12 ludzi z mojej kompanii i prosiłem o dodanie mi z drugiej kompanii sierżanta Jagmin, dla tego, że ten dobrze po rusku mówił. Ruszyłem, lecz wozy te okazały się chłopskimi, którzy z dobytkiem przed przejściem wojska uchodzili. Nie chcąc im krzywdy robić, minąłem, a że to mię więcej jak półtóry mili od kolumny oddaliło, poszedłem dalej w takiej dyrekcyi, że mi się zdawało, że kolumnę naszą flankuję. Kraj był gęstemi gaikami brzozowemi zapełniony; wjechałem do wsi, gdzie zastałem mieszkańców spokojnymi, pytałem się, czyby tu koni nie było, lecz ci wskazali mi wioskę nieco dalej, mówiąc że tam się liczne stado znajduje. Udałem się więc w te strony i przybyłem do wsi na prazdnik, gdzie chłopów dobrze podchmielonych zastałem, a ci mię wódką z miodem częstowali, szczególnie stary chłop mocno był uradowany, widząc nas. Jakoś pomiarkowałem, że nas za Moskali bierze, co dobra ruska mowa Jagmina zapewne sprawiła. Widząc to, zapytuję go, czy nie ma tu naszych, a ten z radością mówi: „Jej bohu, są w pobliskim siole, które ręką wskazał, a na zapytanie moje, czy to pewno nasi, odpowiada: „Jej bohu, 15 koni Dońców.” Trącał go wprawdzie młodszy od niego, który zdawał się odgadywać, żeśmy nie Moskale. Ja dopiero wtedy, kiedy mi się zaprzysiągł starzec, że to Dońcy, mówię do niego: my Chrancuzy, bo tak francuzów chłopci moskiewscy wymawiali. Na co się chłop nieco zmieszał, jednak wierzyć zupełnie nie chciał. Już mi dziwno było, że m tumanu kurzu, który kolumna w marszu tworzyła, nie widział; godzina była blisko 3a z południa, widziałem, że trzeba się w lewo wykręcić, aby się do kolumny zbliżyć, a że wieś, gdzie Dońcy stali, była właśnie w tej dyrekcyi, ruszyłem ku niej. Skorom na równinę wyszedł, spostrzegłem we dworze na dosyć wysokiej górze położonym, ruch jeźdźców wsiadających na koń, którzy się udali w prawo od dyrekcyi, którą brałem; ruszyłem małym kłusem i przybyłem do owego dworku. Tam zastałem długi żłób na podwórzu na krzyżowych palach umocowany, przy którym owe 15 koni dopiero co jadło. W izbie

zastałem jajecznicę niedojedzoną przez kozaków, a pomimo tego mieszkańcy wypierali się mówiąc, że tu kozaków nie było. Że przybywając do wsi spostrzegłem na łące kilkadziesiąt rosłych koni, posłałem więc kilku żołnierzy, żeby to stado do dworu przygnać. Przybyło z 50 koni, klaczy i źrebaków, wszystkie pięknej karej maści; zapędzono je do obór i 2 piękne klacze, za którymi 2ch letnie źrebaki, kazałem okiełznać i dwóch młodych chłopaków na nie wsadziłem. Zabrało to nieco czasu, którego żołnierze użyli, aby się mlekiem uraczyć, a było go podostatkiem. W godzinę ruszyłem dalej, uważałem, że mnie chłopci koniecznie na prawo ciągną, mówiąc, że tu lepsza droga, ale widząc, że ja koniecznie na dyrekcyjną bardziej w lewo nalegam, żeby mnie tern mocniej nakłonić do marszu w prawo okazują z daleka stojący dwór, mówiąc że tam mnoho bolsze łoszaki. To mi pokazało ich zdradę, a że rów przegradzał mię od dyrekcyi, którą iść zamierzałem, przesadziłem przez niego i kazałem tak przewodnikom jak całemu oddziałowi to samo uczynić. Manewrowałem z pół mili przez pola nimem do drogi doszedł; postępując tą drogą, zbliżyłem się do wsi, a że się już zmierzchać zaczynało, wysłałem kaprała Mrowińskiego z pistoletem w rękę, aby jako szpica wieś tę spatrolował. Skoro Mrowiński wjechał do wsi, usłyszałem strzał pistoletowy, na który 2 strzały żywo odpowiedziały; nie było co innego robić dla ratowania Mrowińskiego, jak krzyknąć hurra! i lecieć naprzód, co się stało w oka mgnieniu. Mrowiński tem ośmielony goni dwóch kozaków i goni za daleko, a ja z oddziałem oczywiście za nim. We wsi natrafiłem 13 powózek żytem naładowanych; 2 żołnierzy przy nich zostawiłem z rozkazem, aby te za mną prowadzili, a sam gonię za Mrowińskim. Przelecieliśmy przez dworek drugiej wioski, z kąd się droga kompletnie w prawo wykręcała, do owego dworu, gdzie mię chłopci namawiali. Pogoniwszy nieco w tej dyrekcyi, już się noc zrobiła, aż tu raptem chmara kozaków z krzykami wylatuje na nas; oczywiście żeśmy nie tylko gonić przestali, ale zaczęli dobrym stępo się cofać. Rozsypałem ludzi w jeden szereg, szeroko jeden od drugiego, a dochodząc do

budynków dworku, któryśmy minęli, powiedziałem cichym głosem do ludzi, aby na komendę moją nic nie zważali, ale dalej równym krokiem maszerowali: i dopiero podnosząc głos zakomenderowałem: Szwadron stój, w prawo, równaj się; co oczywiście ścigającym kozakom myśleć dało, że szwadron we dworze stoi, bo gonitwa i krzyki tej chwili ustały. Doszedłszy do dworku, porobiłem zapory, jakie tylko było można i ten ze wszystkimi ludźmi opuściłem, a spotkawszy owe powózki z żytem, zabrałem je z sobą i do gaiku brzozowego o ćwierć mili od dworku wprowadziłem, gdzie z oddziałem stanąłem. Z razu postawiłem wedetę, lecz że miesiąc wschodził, bałem się, że to moją bytność wyda, ściągnąłem więc takową, wszystkie drogi przez gaik ten przechodzące powózkami zaparłem, a na każdej drodze szasera z karabinem pieszo postawiłem. Nie długo słyhać było tentent koni około gaiku, widać że mię kozaki szukali. Obchodziłem moje piesze warty, żeby żaden nie spał; lecz tu mleko skutkować zaczęło; gdzie przyszedł, w kucy szasser z karabinkiem wprowadzie gotowym do strzału, ale niektórzy z tak głośnym skutkiem mleko trawili, że im polecić musiał spokojniejsze odbywanie. Po chwili ustało tętnienie i dopiero późno w noc okazała się łuna obozu naszego i z zadziwieniem spostrzegłem, że ta zupełnie w innej dyrekcyi, jak się jej spodziewałem. Nie wiedziałem bowiem, że armia od Drohobuża (starej granicy polskiej) dyrekcyą prawie pod kątem prostym w lewo zmieniła, co mnie oczywiście o parę mil odległości z moim oddziałem zostawiło. Gdy już łuna była wyraźną, wyprawilem Jagmina, aby mi przewodnika przyprowadził. W godzinę przybył tenże i mówił, że w dniu tym silne spotkanie nasza przednia straż z kozakami odbyła. Bestya przewodnik, czy z umysłu, czy z głupstwa jak najgłośniej ze mną mówił, tak że mu musiał drzewo od kańczuka w gębie trzymać, bojąc się by krzyk jego, kozaków nie ściągnął. Wyszedłem z lasu około 2ej w nocy, ku owej łunie, gdzie przybywszy szczęśliwie, zastałem na forpocztach podporucznika

Potworowskiego, który nadzwyczajnie był zdziwiony, że z tej dyrekcyi tak szczęśliwie przybył, mówiąc, że 6000 kozaków w tę dyrekcyą się cofnęło.

Nazajutrz ruszyliśmy w marsz ku Możajskowi. Marsz ten kilkunastodniowy, był zawsze jednostajny. Około 8ej z rana zaczynał się flankierski ogień, około południa otwierała się kanonada, a od 2ej 3ej ręczny ogień piechoty. W marszu tym obozowaliśmy często mocno oddaleni od Francuzów środkowego korpusu, a czasem tuż obok nich; tu się nauczyłem dobrego bardzo sposobu, t. j. obozowania w lesie z jazdą. Dużo rzeczy za tem przemawia, żołnierz ma wygodę a oddział bezpieczeństwo; bo jeżeli tylko wedety dobrze powinność robią, ma oddział czas wsiąść na konie i wstąpić we front przed lasem, na to oznaczony. A nieprzyjaciel mniej śmiało będzie las atakował, jak oddział na polu. Rozwlekać się nad każdego dnia wypadkami nie warto. Minęliśmy Wiaźmę, Giask, bez żadnych walnych bitew, chociaż flankierowanie nie było bez niebezpieczeństwa, tak bowiem zginął Gustaw Potworowski z 4go pułku strzelców konnych, Tarnowski porucznik pułku 16go ułanów i nie mało innych. Moskale cofali się wzorowo, nigdy najmniejszej zdobyczy bądź w amunicyi bądź w żywności zrobić nie było można, owszem kozaki codziennie wszelkie sterty zboża przed nami palili, pomimo żeśmy się starali temu zapobiedz, gdyż to dla koni naszych, ledwie nie o głodzie postępujących, byłoby ratunkiem. Stawy gdziekolwiek były, pospuszczali, studnie ziemią zarzucono, tak że i ludzie i konie w naszej armii dużo cierpieli. Dwa zdarzenia spotkały mię między Smoleńskiem a Możajskiem; pierwsze, że robiąc szpicę z moją kompanią przed korpusem polskim, idąc drogą wskazaną zaszedłem razu jednego tak daleko między Moskale a przednie straże francuskie, że aż do osoby króla neapolitańskiego Murata, zawsze na czele tyralierów maszerującego, doszedł, i dopiero przez niego w inną dyrekcyą jak ta,

która mnie wskazana była, poszedłem. Był on zawsze strojnie ubrany, białe pióra u kapelusza, płaszcz kolisty suto okryty złotem, przypominał rycerzy z czasów Henryka Ulgo. Kozaki znali go osobiście i do niego nie strzelali. Drugi wypadek więcej mię już osobiście obchodził. Było to 5. września, gdzie równie szpicę robiłem, tego dnia ruszyliśmy bardzo wczes z obozu, nadedniem wyszedłem na równinę; zwolna pod górę szła droga, gdy spostrzegam za środkiem cofającej się rosyjskiej armii, człowieka idącego pieszo i prowadzącego za sobą konia za cugle, a za nim kozak na koniu. Pewny, że to oficer rosyjski za armią swoją ciągnący, ruszam galopem z 2ma szasserami spodziewając się zabrać niewolnika, aż tu z zadziwieniem poznaję mego brata Wacława. Na moje zapytanie, co tu robi, odpowiada: „Wracam do pułku swego 12go piechoty” i dodaje, że to uczynił z następującego powodu. W dzień bitwy pod Smoleńskiem, pułkownik Amirat, szef sztabu przybocznego marszałka Berthier, wyznaczył mego brata do kierowania ambulansami; ten przyjął to za obrazę, mówiąc, że przybył do armii aby się bić, a nie ambulansów pilnować. Pułkownik go aresztował na 2 godziny i doniósł o tem marszałkowi, któren mu polecił, aby mu tego młodego człowieka przedstawił, lecz brat mój nie czekał na to przedstawienie, a pochowawszy brata Jana, opuścił bez rozkazu i meldowania się sztab, konie po bracie zabitym wziął i ruszył za armią. Nie było co ganić, wrócił do pułku i tego samego dnia został zadowolniony, bo pułk krwawy bój odbył wieczorem, do którego już i on, w kompanii wołyżerskiej kapitana Grzelachowskiego, należał.

W dniu tym mieliśmy dużo zaciętsze boje niż zwykle. Moskale każdej pozycji bronili uporczywie, dochodzili bowiem do miejsca, które świętą nazywali doliną i gdzie przysposobienia do walnej bitwy były porobione. Nasze cztery pułki jazdy i bateria artylerii konnej w dniu tym kilka razy kłusem kołowały koło ich lewego skrzydła, aby ich z tyłu razić i tym sposobem do odwrotu zmuszać. Około 4tej przed

wieczorem, łukowym tym marszem formując front, tak aby z tyłu razić broniące się z przodu wojsko rosyjskie, znaleźliśmy się naprzeciwko silnej reduty rosyjskiej, w której 18 dział wałowych się znajdowało. Był to pagórek, w formie głowy cukru, ze wszystkich stron stromy mający przystęp; miała ta reduta lewe skrzydło armii rosyjskiej zakrywać. Cesarz Napoleon chciał tę redutę jeszcze w dniu tym 5go września widzieć opanowaną, zniecierpliwiony oporem jaki tu Moskale dawali, gdzie i ciężka ich jazda w massach szarżę na naszą robiła piechotę i piechota Bagrationa licznie jazdę swą wspierała. Nadesłał nam w pomoc 57my pułk piechoty liniowej francuskiej. Po krwawym boju dostała się reduta z działami w nasze ręce, zdobył ją nadesłany pułk francuski. Nigdy numeru tego niezapomnę, bo gdy nazajutrz rozkaz dzienny ogłosił, że dzień 6ty jest zostawiony do przygotowania się przez armię na walną bitwę, od której mieliśmy wystąpić w największej paradzie, gdy żołnierze czyścili lederwerki, wsiedliśmy oficerowie na koń, aby pobjowisko dnia poprzedzającego zwiedzić. W licznych bojach znalazłem się w ciągu mego życia, lecz nie przypominam sobie abym kiedy tak gęsto leżące widział trupy. Koń stąpać nie mógł, lecz skakał podemną jak koza, aby na trupa nie nadeptać, a zawsze jeżeli nie Moskal to żołnierz 57go pułku.

Przypominam sobie pod strzelnicą działa, młodego oficera tego pułku, którego prawa ręka do strzelnicy wyciągnięta, harda, twarz leżącego wznak, jeszcze po śmierci wyraz ten zachowała.

Wysłane oddziały w okolice, nieco żyta w snopkach przywiezły, jako i różnej żywności. Około 9ej wieczorem kazano nam wsiąść na koń. i bez palenia fajek, bez głośnego gadania maszerowaliśmy z milę drogi wprost przed siebie; szła droga a raczej płaska dolina, którąśmy postępowali, przez krzaki laskowe; kazano nam stanąć i konie w

cuglach trzymając, czekać dnia. Byliśmy na polu, gdzie len świeżo wyrwany, leżał na garściach; ten zbierając, omusztukowanym koniom, dla zagłuszenia nieco głodu, podawali. Nadedniem wsiedliśmy na koń i stanęliśmy frontem w lewo.

Tu winienem dać krótki rys terenu, na którym się jedna z największych bitew świata odbyła. Naprzeciwko głównej armii cesarskiej ciągnęło się pasmo spadziste ku armii francuskiej, za którą była szeroka płaszczyna, zwolna ku Możajskowi o dużą milę z tyłu położonemu, zniżająca się. Za lewym skrzydłem stromej spadzistości tworzącej front przeciw armii francuskiej, pod prostym kątem, stał na wzgórzu korpus Bagrationa, który we środku swej pozycji miał mamelon, gdzie stała jego artyleria, bez żadnych szańców. Wzgórze to dominowało nad całą płaszczyną, przez którą nasz korpus do atakowania lewego skrzydła rosyjskiego miał postępować. Od lewego naszego skrzydła, aż do francuskiego prawego, była przestrzeń blisko mili drogi, gęstymi krzakami olszowemi zarosła. Stroma spadzistość naprzeciw frontu francuskiego była cała licznymi i mocnymi szańcami obwarowana, a między redutami była wszędzie ziemia licznymi wilczymi dołami w szachownice i w kilka rzędów tak przysposobiona, że w każdym dole mógł pieszy żołnierz, więcej do połowy ciała zakryty, obrócić się. Książę Poniatowski, który doskonale umiał oceniać, co na placu bitwy było najkorzystniejszym do wykonania, widział że skoroby Bagration był zbity, wtedybyśmy wszystkie szanse rosyjskie głównej jego linii z tyłu zajmowali, zrobił więc rozporządzenia następujące: Najpierwej rozwinęły się nasze cztery pułki jazdy frontem w dwóch liniach, nieprzyjaciół począł nas silnym ogniem armatnim razić. Staliśmy tak czas niejaki, dopóki nasza piechota nie nadciągnęła. Pod protekcją

rozwiniętego naszego frontu i dział naszych sześciu, zaczęła nas mijać piechota i przed nami się formować. Nieprzyjaciel tę równie mocno witał, szczególnie granatami. Przypominam sobie jak pod dowódcą pułku zdaje mi się 17go piechoty, księciem Konstantym Czartoryskim, granat przedemną ubił konia, t. j. mocną skorupę w bok mu wpakował.

Skoro piechota nie więcej wtedy jak 6000 liczna, przed nami się uszykowała, nakazał książę Poniatowski naszym czterem pułkom uformować się w kolumnę; każdy pułk szwadronami. Tworzyły więc te 4 pułki kolumnę podobną do czworoboku; ruszyliśmy tak i zajęli już w krzakach olszowych, któremi równie prawe nasze skrzydło było otoczone, pozycją wyprzedzającą znowu piechotę. Miał widać książę zamiar jazdą uderzyć na działa Bagrationa, a szarżę tę piechota w silnej kolumnie miała wesprzeć. Pułk nasz trzymał lewe skrzydło kolumny, tak że pierwszy byłby wpadł na szanice. Już nawet miał książę dać znak ataku, kiedy na nieszczęście nasze i na wypadek bitwy, przyjeżdża do księcia generał Sebastiani i mówi: „Na miłość Boga, co książę chcesz robić? Kozaki między nami, a armie francuskie są massami piechoty osadzone, będziemy odcięci i w niwecz obróceni.” Książę z widocznym znakiem niechęci słuchoł Sebastianiego i wstrzymał swego konia oraz całą kolumnę. Najlepiej te wszystkie szczegóły opowiedzieć mogę, bo książę przy mnie właśnie się znajdował, chcąc jak widać z nami uderzyć. Ruszył więc sam w lewo ze sztabem ku krzakom, gdzie Sebastiani chciał massy widzieć i nie długo pułk nasz dostał rozkaz udania się za księciem; zformowaliśmy front tak, że prawe nasze skrzydło miało w przedłużeniu baterie Bagrationa, a front do krzaków owych był obrócony. Było to położenie dla pułku naszego niekorzystne, bo skośny ogień nieprzyjacielski w krótkim czasie nam ze 40 ludzi wyrwał, a między innymi kochanego powszechnie młodego podporucznika Wirzbickiego z Lubelskiego. Książę Poniatowski jeździł ciągle po przed krzakami, wspinając się na strzemionach dla

spostreżenia owych mass, o których Sebastiani wspominał. Tych mass, jak się zdaje, tam nie było, bo później wysłane tyraliery piechoty tych nie znalazły; lecz tyraliery rosyjskie w tych krzakach były liczne. Ustawicznie po czterech, pięciu wychodziło razem z krzaków i biorąc księcia na cel, do niego strzelali, lecz szczęśliwie że go żaden nie trafił. Piechota nasza, skoro się do krzaków dostała, tyralierów tych głębiej popchnęła, lecz żywo się tyralierowie rosyjscy opierali. Rannymi wyszli z krzaków Weissenhoff pułkownik, Suchodolski major i kilku innych. Trwała bitwa, lecz więcej działała jak oddziałowa, aż do zmierzchu; dopiero przed wieczorem Bagration opuścił pozycją, której już nie miał potrzeby bronić, bo główna linia obrony, to jest reduty naprzeciw frontu armii francuskiej były przez ciężką jazdę francuską okrążone i zdobyte. Morderczy tam odbył się bój; dwóch dowódców korpusu tej jazdy, jeden następując po drugim, na czele tej ciężkiej jazdy poległo, t. j. Monbrin i Caulincourt. Jazda nasza polska, która przy głównej była armii, także nie mało ucierpiała, między innymi zginął tam waleczny dowódca pułku 3go ułanów Radziwiński. Okropna to była rzecz bój w tak gęstych krzakach prowadzący się, bo nie raz mógł człowiek tylko ciężko ranny bez ratunku z głodu tam umrzeć, nikt go bowiem znaleźć nie mógł. Tak zginął Radziwiński, że ciała jego pułk lubiący go i pilnie szukający nigdzie nie natrafił, jak równie pod Smoleńskiem, o czym zapomniałem wspomnieć, zginął generał Grabowski, którego most między miastem a Dnieprem atakował i gdzie tak ciemne były kłęby dymu, że adjutant jego a mój przyjaciel Siecheń ciągle obok niego będący bagnetem pchnięty, nie widział śmierci swego generała.

Ze smutkiem podczas bitwy pod Możajskiem, a raczej pod Borodinem, bo tak się wieś nazywała którą Moskale spalili żeby do szaniec przystępu nie zostawić, patrzyliśmy na liczną kolumnę gwardyi cesarskiej, która nieczynnie za środkiem armii francuskiej daleko od

ognia stała. Gdyby był cesarz korpus nasz polski przez 8000 dzielnego żołnierza, którego pod nazwiskiem legii nadwiślańskiej do korpusu starej gwardii był przyłączony pod dowództwem generała Chłopickiego, gdyby mówię cesarz ten korpus na dzień bitwy do księcia komendy był przyłączył, byłibyśmy o 9ej z rana korpus Bagrationa przewrócili i wszystkie boje frontu armii byłyby uniknione. Może nawet bez tego posiłku byłibyśmy Bagrationa zepchnęli gdyby nie rada nieszczęśliwa jen. Sebastianiego. Opierać się jego radzie było ks. Poniatowskiemu trudno, bo chociaż Sebastiani pod jego komendą zostawał jako dowódca naszych czterech pułków, było widocznem że cesarz więcej jemu ufał jak ks. Poniatowskiemu, co Sebastiani przez cały marsz ile razy mu się okazywała, okazywał. Mnie samego wysłał raz do ks. Poniatowskiego uwiadamiając go jaki ruch przedsięwzię i jakim sposobem ks. Poniatowski ma go wspierać. Zresztą co nastąpiło nazajutrz po bitwie, ufność cesarza do Sebastianiego okazała, gdy po śmierci generałów Monbrin i Colincourt tenże Sebastiani dowództwo korpusu ciężkiej jazdy dostał.

Po ustąpieniu a prawie podczas ustąpienia Bagrationa, ruszyliśmy kłusem dla opanowania jego pozycji, jużśmy oporu w tem nie znaleźli, lecz on był dalej wziął pozycją, z której nas działami raził, a że noc była ciemna, położenie krzaczyste, posuwać się więc za nim było niepodobna. Stanęliśmy obozem i oddziały zostały wysłane na wszystkie strony dla furazu, i żyta w snopach, choć późno w nocy, była w obozie obfitość. Jak wielkie musiało być zamieszanie z powodu szarż w krzakach odbytych, miałem dowód w tem, że około północy przybył do kompanii mojej pieszo pułkownik Adam Potocki, dowódca 1go pułku jazdy, który wprowadzie oprócz waleczności nie był bardzo tęгим żołnierzem ale tak się zabłąkał, że mając konia zabitego, zamiast do swego pułku, zupełnie w innej dyrekcyi się znajdującego, tu przybył.

Nazajutrz już czas był mocno zimny tak jak i w nocy, którąśmy bez ogniów przebyli. Do 3ej z południa nie postąpiliśmy za nieprzyjacielem co zdaje mi się było wielkim błędem, bo w kilka dni później, wzięwszy kilku konnopolców w niewolę, dowiedzieliśmy się od nich, że gdybyśmy ich byli gonili, zamieszanie w ich wojsku było wielkie; niewiem czy tak było, ale to pewne że Moskale tak się umieli cofać, iż śladu żadnego zamieszania nie było. Skorośmy się ku Możajskowi zbliżali, zaczęli nas witać ogniem armatnim, co do nocy trwało, z której korzystając dalej ustąpili. Jazda nasza zostawując Możajsk na lewej ręce, posunęła się w tej dyrekcyi blisko milę i stanęła obozem, mając przy sobie batalion z wołyżerów złożony, pod komendą szefa batalionu Samuela Rożyckiego. Trzeciego dnia ruszyliśmy dalej rewno ze dniem, i tu zaraz odebraliśmy dowód że zamieszania u Moskali już nie było. O parę staj od obozu naszego, zaczynały się przed nami gęste olszowe krzaki. Książę Sułkowski powinien był przednią straż z wołyżerów złożyć, lecz tego nie zrobił; kompania 8a nasza, kapitana Brzeżańskiego, tworzyła w tym dniu szpicę, ruszyła więc pierwsza, a my w krótkim dystansie maszerując trójkami, za nią. Moskale batalion piechoty, a może i więcej, byli pod nasz obóz podsunęli, piechota ta kompanią szpicy spokojnie przepuściła, a gdy już pułk blisko w połowie długości był wszedł w krzaki, podniosła się i bijąc w bębny do ataku, rześisty ogień na nas sypać zaczęła, a jednocześnie chmara kilku tysięcy kozaków, na bliskim polu w prawo, z wielkimi krzykami zbliżyć się zaczęła. Książę Sułkowski jeżeli mu brakowało doświadczenia wodza, był pełen odwagi i zimnej krwi. Pierwsza komenda była dana „trzema w prawo” przez co kozakom szeroki front pokazaliśmy, a skoro tylko widział że kozaki serio nie atakują, posłał polecenie do jednego z czterech pułków w tyle maszerującego aby dwa szwadrony z dwoma działami ruszyły ku kozakom. Stało się to dość szybko, ale przez ten czas musieliśmy znosić z tyłu ciągły ogień piechoty, dopiero gdy kozaki groźnymi nam być nie

mogli, zakomenderował „trzema w lewo” i następnie „formuj szwadrony”. Trzeba było dobrego żołnierza aby to wszystko tak jak nastąpiło wykonał bez zamieszania. Skoro raz szwadrony front sformowały, nakazano zostało, aby każdy żołnierz dał ognia, najpierw z karabinka, a następnie z obydwóch pistoletów, po czym każdy szwadron szedł, prawa kompania w prawo w tył, lewa w lewo w tył, i znów ogień zaczynał szwadron drugi i następnie trzeci. Właśnie strzelałem z moją kompanią kiedy biegiem nadciągnął Samuel Rożycki z wołyżerami, a skoro przybył, dyrekcyja ognia nieprzyjacielskiego zniżyła się, to jest że już nie do głów zmierzali ale poziomo. Moskale się cofnęli żywo ale prawie bez straty.

Po tem krótkim a niemiłym starciu się z nieprzyjacielem, nie mogliśmy pomimo szacunku i uszanowania jakie zimna krew młodego naszego dowódcy ks. Sułkowskiego na nas sprawiała, nie śmiać się między sobą ze słów jakimi wojsko do wytrwania w tak ciężkim razie zachęcał; powtórzył bowiem kilka razy: „Stać dzieci, stać! Książę Wami komenderuje.” Co w kilku zdarzeniach zwykł był w różnych słowach powtarzać.

Od tego dnia aż do przybycia pod Moskwę nic nie zaszło ważniejszego, ani nawet wojsko rossyjskie nie okazało się nigdzie, oprócz dość licznych kozaków.